

Clare Compton

**Lukiernia**  
*pod*  
**Pierozkiem z Wiśniami**

ilustracje

**Maria Orłowska-Gabrys**

przełożyła

**Krystyna Tarnowska**



*Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2007*

# Ania i Kicia jadą do Londynu

Po przeczytaniu tygodnika ilustrowanego od pierwszej do ostatniej strony, w tym nawet kilku ogłoszeń, Ania nie miała co robić. Siedziała, przysłuchując się chrapaniu starego pana, który spał w przeciwległym kącie przedziału. Pomyślała, że w tym chrapaniu słyhać melodię. Staruszek wydawał z siebie najpierw pomruk, zaraz po tym rozlegało się sapnięcie i dziwaczny gardłowy klekot, a na zakończenie długi gwizd przez nos. Ania czekała na każdy z tych dźwięków, powtarzając sobie w kółko, jakby to był refren piosenki: pomruk, sapnięcie, klekot, gwizd.

W innej sytuacji uważałyby, że to strasznie śmieszne, i bałyby się spojrzeć na Kicię, która siedziała naprzeciwko, bo mogłyby zacząć chichotać. Ale dzisiaj Ani wcale nie było do śmiechu. Kici też chyba nie. Zerknąwszy na nią, Ania zobaczyła, że Kicia bawi się w „panią robiącą na drutach”, jak

to sama nazywała. Miała kłębek mocno przybrudzonej różowej włóczki i kościane druty. Jej krótkie nóżki, w białych skarpetkach i pantofelkach zapiętych na pasek, poruszały się w takt pracowitego postukiwania drutów; od czasu do czasu marszczyła okrągłą buzię, odymała wargi i liczyła oczka.

Naśladowała jak najdokładniej osobę robiącą na drutach i Ania niekiedy zapominała, że to tylko udawanie. Najwyższa pora, żeby Kicia nauczyła się posługiwać drutami. Ktoś, kto ma dość lat, żeby pójść do szkoły, ma dość lat, żeby robić na drutach. Kilka osób, w tym Ania i panna Tomkins z przedszkola, robiły, co mogły, żeby ją tego nauczyć. Ale Kicia dalej wolała udawać, podobnie jak dalej wolała, żeby ją nazywano Kicią, chociaż wszyscy dorośli uważali, że powinno ją się nazywać jej prawdziwym imieniem, które brzmiało Prudencja. Może dlatego wszyscy w dalszym ciągu nazywali ją Kicią, że tak w niczym nie przypominała osoby, która mogłaby mieć na imię Prudencja. Ania westchnęła. Czasem przychodziło jej do głowy, że wcale niełatwo jest być starszą siostrą Kici. Zwłaszcza teraz, kiedy

ojciec wyjeżdża na pół roku do Australii, a one zostają w kraju.

Ania poruszyła stopą, bo zaczęła jej drętwieć, i przypomniała sobie, że tydzień temu wszystko szło normalnie. Ona i Kicia budziły się co rano w małym domku, odległym o sześć mil od Bristolu, i zaraz przychodziła pani Parks, żeby im ugotować śniadanie i zająć się domem, jak to robiła co dzień, odkąd Ania sięgała pamięcią. Pan Hutchens, biurowy kolega tatusia, przygotowywał się do podróży, miał przez pół roku pracować w australijskim oddziale ich biura w Melbourne. Ale wpadł pod samochód i zabrali go do szpitala, i to nie on, tylko tatuś poleci samolotem do Melbourne, a ona z Kicią spędzą te pół roku u ciotecznej babki Zofii. Przedstawiona w prostych słowach perspektywa wydawała się tak okropna, że dreszcz przebiegł Anię i pismo ilustrowane zsunęło jej się z kolan na podłogę.

Tatuś podniósł wzrok znad gazety.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedział, wyglądając przez okno — i trzeba przyznać, że zgodnie z rozkładem. Doskonale zdążę na lotnisko, pod warunkiem, że ktoś wyjdzie po was na dworzec.

Ania podniosła pismo i starała się nie wyglądać na tak nie-szczęśliwą, jak się z pewnością czuła. Widocznie nie bardzo jej się to udawało.

— Głowa do góry, staruszek — powiedział tatuś. — Sześć miesięcy to niedługo. Przeleci piorunem, a w kwietniu będziemy już razem.

Dorośli mają chyba zupełnie inne poczucie czasu, pomyślała Ania. Jak może ktoś mówić, że wieczność trwająca sześć miesięcy przeleci piorunem! Zaczęła liczyć miesiące na palcach: październik, listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec. Mój Boże, od kwietnia oddziela ją cała zima! Pomyślała o ostatniej zimie, o tym, jak strasznie długo obie z Kicią nosiły grube palta i wysokie buty. Byłoby okropnie rozstać się z tatusem na sześć miesięcy, nawet gdyby mogły nie wyjeżdżać z małego domku niedaleko Bristolu, ale konieczność zamieszkania w obcym mieście u krewnej, której ani ona, ani Kicia nie pamiętają, pogarszała jeszcze sprawę.

— Liczę na dużo miłych, długich, interesujących listów — powiedział tatuś, składając gazetę. — I nie wysilaj się na ładną kaligrafię, chodzi tylko o to, żebym miał o was jak najwięcej

wiadomości. A jeżeli Kicia nie da sobie rady z pisaniem, niech mi rysuje obrazki.

Kicia zamrugała, ale nie odpowiedziała. Pewnie w ogóle nie słucha, pomyślała Ania. Wargi Kici poruszały się, liczyła oczka. Tory kolejowe biegły teraz między wysokimi budynkami, Ania nigdy w życiu nie widziała tylu dachów i kominów, i wież kościelnych. Wydawało się, że dachy są ustawione jedne na drugich, a widać je było wszędzie, jak daleko Ania sięgała okiem. Ten Londyn musi być naprawdę ogromny, większy od Bristolu, a przecież Bristol wydawał jej się strasznie dużym miastem, kiedy pojechała tam w zeszłym roku z panią Parks, żeby kupić nowe palto. Ania nie wiedziała dlaczego, ale widok wszystkich tych obcych, nieprzyjaznych dachów i sama wielkość Londynu pogarszały jeszcze sytuację.

— Jaka ona jest... ta cioteczna babka Zofia? — spytała Ania.

Nagle pomyślała, że tego już za wiele — obce miasto i na dodatek obca stara krewna.

— Zofia? Och, bardzo miła. Swoją drogą, dawno jej już nie widziałem. Póki mieszkała na północy kraju, podróż do nas trwała za długo. Pamiętam, że wybierała się na chrzciny Kici,

ale w ostatniej chwili nic z tego nie wyszło. Naturalnie teraz, odkąd mieszka w Londynie, dużo łatwiej się do niej dostać.

Ania była bliska rozpacz. Całe to mówienie o miastach i chrzcinach — przecież to nie określa człowieka!

— Ale jaka ona jest?

— Naprawdę bardzo sympatyczna. Mamusia zawsze mówiła, że jest najmilsza ze wszystkich jej ciotek. Właściwie była jej ulubioną ciotką — oznajmił tatuś.

Wepchnął gazetę do kieszeni i powiedział Kici, żeby schowała robótkę i zapięła pantofelek. Chyba uważał, że Ania wie już wszystko, co chciałyby wiedzieć o ciotecznej babce Zofii. A właściwie co z tego wszystkiego wynika? — spytała Ania siebie w duchu. To, że jest najmilszą ze wszystkich ciotek, może znaczyć, że wszystkie inne są okropne i że ona jest trochę mniej okropna od nich. W samych słowach „cioteczna babka” jest coś nieprzyjemnego, podobnie jak w imieniu Zofia. Przypominało jej to historię przeczytaną kiedyś w książce pod tytułem: „Mali ludkowie”. Ta książka należała do mamusi, kiedy była mała. Były tam opisane przygody brata i siostry, Harry’ego i Laury, którzy jakiś czas mieszkali u strasznie surowych

dziadków. Ciągłe coś broili i ciągle byli za to karani. O ile Ania mogła sobie przypomnieć, połowę czasu spędzali zamknięci w pokoju na górze i dostawali do jedzenia i picia prawie wyłącznie wodę i chleb. A jeżeli ją i Kicię czeka podobny los u ciotecznej babki Zofii? Poczwała nagle, jak dusza ucieka jej w pięty. Swoją drogą wydawało się to mało prawdopodobne. Ani ona, ani Kicia nie są specjalnie niegrzeczne i trudno sobie wyobrazić, żeby dzisiaj nawet ktoś taki jak cioteczna babka mógł karać dzieci głodem. Mimo to biedna Ania bardzo posmutniała, a na myśl o Harrym i Laurze zrobiło jej się jeszcze smutniej.

Pociąg zwalniał. Krzątania przy ściąganiu walizek leżących na półkach i zapinaniu palt rozproszyła smutne myśli Ani. Stary pan już jakiś czas temu przestał mrużyć, sapać, klekotać i gwizdać i okręcał teraz szyję kraciastym szalikiem.

— Musimy sprawdzić... jedna duża walizka, dwie mniejsze, jedna torba na sprawunki, która tak wygląda, jakby miała za chwilę pęknąć... Kiciu, co to za śmieci? — spytał tatuś, podnosząc puszkę z napisem „Czekolada w proszku”, która zagrzechotała, gdy nią potrząsnął, i coś, co wyglądało jak strzęp starego niebieskiego koca.

— To nie żadne śmieci — obraziła się Kicia — tylko bagaż pani Rawlings. — I wyrwała je tatusiowi z ręki.

— Wiesz, na twoim miejscu poprosiłbym tę panią, żeby następnym razem wzięła w drogę mniej rzeczy — powiedział ojciec, zapinając paski na walizce.

Kiedy Kicia była jeszcze bardzo mała, wymyśliła sobie panią Rawlings. W każdym razie tak się to zaczęło. A teraz czasem Ania trochę się w tym gubiła. Kicia traktowała panią Rawlings bardzo poważnie i Ania od czasu do czasu musiała sobie powtarzać, że jest to tylko osoba zmyślona.

Nim zebrali cały bagaż, nim Kicia zapięła pantofelek, a Ania włożyła na głowę szkolny kapelusz i zawiązała wstążkę, która zsunęła jej się z jednego jasnego warkocza, pociąg zatrzymał się. Ania pomyślała, że wjechali do ogromnej, ciemnej jaskini — takie było jej pierwsze wrażenie z londyńskiego dworca. Zobaczyła na peronach tłoczących się ludzi, tragarzy, stosy walizek i usłyszała straszny hałas.

— Teraz trzymajcie się blisko mnie — ostrzegł tatuś. — Mam nadzieję, że Zofia czeka tu gdzieś na was, bo inaczej spóźnię się na samolot.

Stali zbici w gromadkę i tatuś rozglądał się na wszystkie strony, a tymczasem śpieszący się gdzieś ludzie potracali ich w mroku. Ktoś nastąpił Ani na nogę i niewiele brakowało, a Kicia przewróciłaby się na stos walizek.

— Na miłość boską, uważaj, co robisz! — rzucił ostro tatuś.

Nic dziwnego, że Kicia nie spostrzegła walizek. Stała z głową zadartą i wpatrywała się w szklany sufit.

— Patrz, ptaki! — powiedziała, szturchając Anię łokciem.

To prawda, Ania zobaczyła mnóstwo gołębi, siedziały na cienkich żelaznych belkach. Od czasu do czasu sfruwały na któryś z mniej zatłoczonych peronów i chyba zupełnie im nie przeszkadzał głośny łoskot pociągów i tragarze pchający wózki załadowane wysoko kuframi i skrzyniami. Przyglądając się gołębiom, Ania starała się nie myśleć o ciotecznej babce Zofii. Wiedziała doskonale, jak ona wygląda, była tego prawie pewna: wysoka i chuda, w okularach, z haczykowatym nosem i wiecznie ściągniętymi brwiami.

— No, nareszcie was znalazłam! — odezwał się jakiś głos tuż obok nich.

Ania oderwała wzrok od gołębi i spojrzała na maleńką i pulchną panią w szarym palcie, która zaledwie sięgała tatusiowi do ramienia. Niemożliwe, żeby to była cioteczna babka Zofia! Nie miała okularów ani haczykowatego nosa. Ani nie marszczyła brwi. Przeciwnie, miała okrągłą, uśmiechniętą twarz, trochę jakby kocią. Nie uwierzę, po prostu nie uwierzę, żeby mogła być czyjąkolwiek cioteczną babką, powiedziała sobie Ania. A jednak poczuła się nieco rozczarowana, kiedy się okazało, że naprawdę nie jest. Wyszła po nich na dworzec, powiedziała obca pani tatusiowi, bo ktoś, kto ma na imię Zofia, nie mógł zostawić swojego interesu. Zofia? Pewnie ma na myśli cioteczną babkę Zofię? Interes? Ania zaczęła myśleć zupełnie inaczej o ciotecznej babce Zofii. Interesy były dla niej czymś takim, czym się zajmował tatuś — załatwiano je w ogromnym biurze, gdzie dziesiątki ludzi siedziały przy biurkach i stukwały na maszynach. A czegoś takiego naprawdę trudno było się spodziewać po ciotecznej babce, došla Ania do wniosku.

— Nazywam się Klotylda Woodhouse — ciągnęła obca pani, zapinając paletko Kici i podnosząc pękającą torbę spod nóg



małej, gdzie ją dziewczynka postawiła. — Dzieci mogą na mnie mówić Klocia. Przywykłam, że mnie tak wszyscy nazywają, i czułabym się bardzo dziwnie, gdyby ktoś zwracał się do mnie inaczej.

Objęła uśmiechem całą ich gromadkę, nie wyłączając Ani, która mimo woli też się do niej uśmiechnęła. Klocia to takie śmieszne, miłe imię. Jaka szkoda, że czeka ją jeszcze przykrość poznawania ciotecznej babki Zofii i żegnanie się z tatusiem. To drugie okazało się nie takie straszne, jak się tego Ania obawiała. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie zdążyła pomyśleć, ile tysięcy mil jest do Melbourne.

Przed dworcem czekał samochód.

— Czy to pani taksówka? — zwrócił się tatuś do pani Woodhouse. — Nie powinniśmy jej tu za długo trzymać — dodał, stawiając walizkę na chodniku i prędko całując najpierw Anię, a potem Kicię.

Taksówkarz zaczął ustawiać bagaże na miejscu obok kierowcy.

— Bądźcie grzeczne i starajcie się sprawiać waszej ciotecznej babce możliwie najmniej kłopotu. Pamiętajcie, że jest bardzo zapracowaną osobą i powinniśmy być wdzięczni zarówno jej,

jak i pani Woodhouse, że chcą trzymać u siebie takie dwa aniołki z różkami, dopóki ja nie wrócę — powiedział tatuś, robiąc do nich strasznie komiczną minę i potem prawie natychmiast ruszyli, taksówka wyjechała spod dworca i skręciła w ulicę niemal od brzegu do brzegu zapchaną samochodami i autobusami.

— Nie, słowo daję, byłabym zapomniała!... — jęknęła Klocia.

Wyjęła dwie małe celofanowe torebki i wręczyła je dziewczynom. Torebka Ani była przewiązana niebieskim sznurkiem, torebka Kici — różowym.

— Krówki domowej roboty, od Zofii. Spróbujcie — powiedziała Klocia.

Ania pamiętała, żeby podziękować, zanim włoży do ust pierwszy cukierek, który był taki dobry, że prawie się rozpląwał na języku. Taksówka znowu skręciła. Znaleźli się teraz na szerszej ulicy, gdzie było jeszcze więcej samochodów, więcej autobusów i więcej ludzi pędzących po chodnikach.

— Tu chyba wszyscy się śpieszą — powiedziała Ania.

— Bez przerwy biegają z miejsca na miejsce. Taki jest Londyn — oznajmiła Klocia pogodnie. — A ja zawsze

powtarzam: śpiesz się powoli. Nie ma sensu tak ciągle go-  
nić. Daj mi krówki, kochanie, i zapnij palto. Jesteśmy pra-  
wie na miejscu.

— Pani Rawlings strasznie lubi krówki — oznajmiła Kicia,  
oddając niechętnie torebkę i borykając się z guzikami.

Biedna Ania bardzo się zmieszała. Kiedy czasem Kicia  
wspominała o pani Rawlings, nic nie podejrzewający ludzie  
zadawali krępujące pytania albo się dziwili. To bardzo Kicię  
złościło, a jak była zła, była taka zła, że się robiła niegrzeczna.  
Chyba zaczęłabym płakać, jakby się to teraz zdarzyło i jakby  
Kicia naraziła się wszystkim na samym początku pobytu,  
pomyślała. Z całej siły zacisnęła palce w rękawiczkach, pocie-  
szała się nadzieją, że Klocia nie powie: „Rawlings! Słowo da-  
ję, co za nazwisko! Nigdy o niej nie słyszałam, ale coś mi się  
zdaje, że to straszna jędza!” Tak mniej więcej powiedział pan,  
który przyszedł nastroić pianino, i Kicia wściekła się i zatrza-  
snęła przykrywą. Na nieszczęście pan stroiciel miał akurat  
palce na klawiszach. Tatuś posłał Kicię do łóżka na resztę  
dnia, chociaż była dopiero dziesiąta rano.

Jakaż to była ulga dla Ani, kiedy Klocia powiedziała:

— Ta pani... jak jej tam... wydaje mi się bardzo rozsądną oso-  
bą. Nie ma nic lepszego od krówek domowej roboty.

Nagle taksówka szarpnęła i zatrzymała się.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmiła Klocia i wybuchło  
straszne zamieszanie, jak to zwykle przy sięganiu po walizki  
i torby. Dziewczynki musiały czołgać się po podłodze w po-  
szukiwaniu rękawiczek Kici i szylinga samymi drobnymi, któ-  
ry Klocia właśnie przygotowała i trzymała w ręce, żeby zapła-  
cić taksówkarzowi. Naturalnie taksówka kosztowała znacznie  
więcej, ale na szczęście reszta pieniędzy Kloci znajdowała się  
bezpiecznie w jej portmonetce.

W końcu wygramoliły się wszystkie z auta i dziewczynki sta-  
ły obok siebie, gdy tymczasem Klocia płaciła.

Ania szturchnęła Kicię.

— Nie zapominaj, że cioteczna babka Zofia jest bardzo sta-  
ra — wyszeptwała.

— Naprawdę? — Kicia spojrzała na nią szeroko otwartymi  
oczami.

Ania uznała, że Kicia myśli zupełnie o czymś innym i w ogó-  
le nie zwraca uwagi na jej słowa.

— Staruszki nie lubią dzieci biegających po całym domu i trzaskających drzwiami, a jak się okaże, że jest głucha, będziesz musiała mówić do niej bardzo głośno.

Czasem strasznie trudno jest wytłumaczyć Kici jakąś rzecz, pomyślała Ania. No cóż, zrobiła, co mogła. Zadowolona z siebie obróciła się i zaczęła badać wzrokiem dom. Jak też wygląda mieszkanie tej ciotecznej babki Zofii? I nagle znieruchomiała ze zdumienia. Przecież tu w ogóle nikt nie może mieszkać! To jest sklep! Drzwi były pomalowane lakierem w kolorze płatków geranium, a okno wystawowe było wybrzuszony i składało się z mnóstwa małych szybek ze szkła pełnego pęcherzyków, jak szkło na dnie butelek po lemoniadzie. Przez te szybki Ania dostrzegła ciastka — oblane czekoladą biszkopty, słodkie bułeczki pokryte lukrem, ogromny kawał ciemnego, lepkiego piernika i na półkach z drucianej siatki ptysie, dosłownie naładowane kremem.

Ania oderwała wzrok od wystawy kuszącej ciastkami i spojrzała na szyld dyndający nad wejściem. Było tam napisane dużym drukiem: „Cukiernia »Pod Pierozkiem z Wiśniami«”,

a u dołu mniejszy napis głosił: „Śniadania. Domowe obiady. Podwieczorki. Ciasta własnego wypieku”.

— Chodź, Aniu. Na pewno obie marzycie o podwieczorku — powiedziała Klocia rażnym głosem spod drzwi, gdzie stała, trzymając Kicię za rękę.

Ania z trudem oderwała się od wystawy. Przy otwieraniu drzwi zabrzączał wesoło dzwoneczek i Ania poczuła w nozdrzach zachwycający zapach. Co to może być? — spytała się w duchu i uznała zaraz, że to świeżo parzona kawa, posmarowane masłem grzanki — i jeszcze coś, czego nie umiała rozpoznać.

Pomyśleć tylko, że zamieszka w takim ładnym i tak ślicznie pachnącym domu! Co więcej, zamieszka w domu, który się nazywa „Pod Pierozkiem z Wiśniami”! Podniecona Ania przeskoczyła przez próg i weszła do środka za Klocią i Kicią.